

# Tadeusz Biliński

---

## Ta wojna będzie trwała długo

---

Palestra 42/9-10(489-490), 76-83

---

1998

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

**Tadeusz Biliński**

## **Ta wojna będzie trwała długo**

**W** północno-środkowej części Sri Lanki znajdują się ruiny starożytnego miasta Anuradhapura. Jest to największe, choć może nie najlepiej zachowane, z kilku zrujnowanych miast znajdujących się na Cejlonie. Odkryte, i częściowo odrestaurowane w XIX wieku przez Brytyjczyków, jest dziś jednym z zabytków klasy światowej. Przez ponad tysiąc lat synhalezcy królowie z Anuradhapury właśnie rządzili wyspą. W środku wielkiego kompleksu kamiennych świątyń, pałaców, basenów i misternego systemu irygacyjnego rośnie drzewo. Nie jest to byle jakie drzewo, ale drzewo święte, wyrosłe z sadzonki przywiezionej z Indii, z miejscowości Bodhgaja, w której z górą dwa i pół tysiąca lat temu książe Siddhartha, asceta, mistyk i mędrzec, doznał oświecenia, stając się Buddą. Dla synhalezkiego buddysty niewiele jest rzeczy bardziej świętych niż to właśnie, rozłożyste drzewo, otoczone wysokim murem. Jednakże to, co święte dla Synhalezów jest nienawistne dla partyzantów tamilskich z ugrupowania Tamilskich Tygrysów.

– Mieszkają tu Tamilowie i Synhalezi – opowiadał właściciel hotelu w Anuradhapurze, w którym się zatrzymałem. Kiedyś nie było między nami konfliktu. Wsiadaliśmy razem do autobusu, zaraz zaczynała się rozmowa, częstowaliśmy się wzajemnie papierosami. Teraz jest inaczej – pokazał jak się teraz siedzi w autobusie: ręce przy sobie, każdy patrzy przed siebie, nie rozmawia się z sąsiadem, w tym tłumie jest się samemu.

– Jest inaczej, to przykre, to nie jest normalne, ale co można poradzić.  
– Podobno kilka lat temu LTTE dokonało napadu na miasto – powiedziałem.  
– Dwunastego maja 1987 roku, dokładnie o 6.30 rano. Przyjechali autobusem przebrani w mundury wojskowe. Nikt nie miał podejrzeń, bo armia korzystała wtedy z cywilnych autobusów. Wysiedli na rynku i zaczęli strzelać do wszystkiego, co się ruszało. Na ulicach było dużo ludzi, bo jechali do pracy. Kiedy już zabili wszystkich w okolicy, ponad sto sześćdziesiąt osób, wsiadli do autobusu i odjechali. Policja ruszyła w pościg, ale oni strzelali do przypadkowych przechodniów i policjanci musieli się zatrzymać, żeby udzielać im pomocy. Dzięki temu terrorystom udało się zbiec. Powiedz, czy to jest rewolucja, takie zabijanie niewinnych, przypadkowych ludzi? Prawdziwa rewolucja była w Związku Radzieckim i na Kubie, tutaj to zwykły terrorizm.

Nie wyprowadzałem go z błędu w kwestii istoty rewolucji rosyjskiej czy kubańskiej, bo zbyt dużo trzeba by tłumaczyć. Sri Lankańcy żyją w innym świecie, mają własne problemy, o całkiem innym wymiarze, z którymi nie nauczyli się jeszcze żyć. No bo czy łatwo jest żyć z groźbą terroryzmu, min, czystek etnicznych?

### Konflikt północy i południa

Jest to jedna z najdłuższych ciągnących się wojen. Świat się w zasadzie przestał nią interesować, bo konflikt jest zlokalizowany. Setki tysięcy uchodźców nie przelewają się przez granice sąsiednich krajów. Ci, którym uda się przepłynąć do Indii wtapiają się w masę tubylców, od których nie różnią się szczególnie ani językiem, ani kolorem skóry, ani obyczajami.

Sri Lanka, niegdyś zwana Cejlonem, leży na peryferiach, jak gdyby w połowie drogi między strategicznie i gospodarczo ważną Azją Południowo-Wschodnią i Bliskim Wschodem. Potencjalnie może to być pozycja kluczowa, ale w gruncie rzeczy w Azji Południowej do czasu indyjskich i pakistańskich prób jądrowych nie działo się nic aż tak istotnego, żeby świat w szczególny sposób miał się nadal interesować bojami na tej niewielkiej, tropikalnej wyspie, zamieszkałej przez ludzi czarujących, słodkich i okrutnych zarazem. Już w zeszłym stuleciu anglikański biskup Heber zauważył w swoim, znanym na Cejlonie, czterowerszu, że jest to piękny kraj, w każdym swoim aspekcie miły, zamieszkały jednak, przez ludzi złych.

Wojna trwa i natężenie walk, nawet w porównaniu z konfliktami w Wietnamie czy Afganistanie nie jest wcale małe. Kiedy 18 lipca 1996 roku oddziały Tamilskich Tygrysów zaatakowały rządową bazę w Mullaitivu, w ciągu kilku dni zabili ośmiuset żołnierzy. Uratowało się, schowanych w tropikalnej gęstwinie lasu, zaledwie kilkunastu Synhalezów. Zginęło również czterystu Tamilów. Rok później władze Sri Lanki przygotowywały uroczystości pięćdziesięciolecia niepodległości kraju. Miały się one odbyć w Kandy, starej stolicy Królestwa Cejlonu, położonej wśród wzgórz w środkowej części kraju. Znajduje się tam najświętsza świątynia Synhalezów, Świątynia Zęba, zawierająca relikwię zęba Buddy, którą to relikwię jedna z cejlońskich księżniczek przemyciła z Indii osiem wieków po jego śmierci. Świątynia Zęba jest więcej niż miejscem modlitwy, jest symbolem synhalezkiej tożsamości. Zaproszono wielu znakomitych gości, w tym brytyjskiego księcia Karola. Jednakże pewnego dnia pod świątynię podjechała ciężarówka, kierowca i pasażer wyskoczyli i uciekli, a po chwili pojazd eksplodował. Świątynia została poważnie uszkodzona, uroczystości przeniesiono do Colombo, minister obrony podał się do dymisji. Atak był typowy dla Tamilskich Tygrysów, mistrzów w konstruowaniu bomb, pułapek i min.

Jak inne tego rodzaju wojny domowe również ta jest bardzo okrutna. Obie strony masakrują ludność cywilną. Jeńców się w zasadzie nie bierze.

Sri Lankę zamieszkują Synhalezi, Tamilowie, muzułmanie i chrześcijanie, ale naprawdę liczą się tylko te dwie pierwsze grupy etniczne. Synhalezi są w większości

buddystami, Tamilowie hindusami. Wojna na Cejlonie to konflikt synhalezko-tamili.

Ma on długą historię i umocowany jest w świadomości historycznej zwalczających się stron od stuleci. W gruncie rzeczy leży w centrum archetypu starcia dobra ze złem. Takim archetypem jest dla Azji Południowej „Ramayana”. Ten starożytny epos z trzeciego wieku, autorstwa Valmikiiego, przedstawia konflikt dobrego króla północy, Ramy, ze złym, okrutnym i podstępny demonem południa, Rawaną. Rama panował w Indiach, Rawana na wyspie Lanka – dziś Sri Lanka. W konflikcie chodziło rzecz jasna, jak to często bywa, o kobietę. Po wielu potyczkach, Rama, wspierany przez wielką armię małp, wyprawił się na Lanę. W długotrwałej bitwie pokonał wielogłowego potwora Rawanę odzyskując swoją piękną i cnotliwą Sitę.

Ramayana interpretowano na różne sposoby, również w kategoriach konfliktu między indoaryjską północą i drawidyjskim południem. Dla południowoindyjskich Drowidów to Rawana, nie Rama, jest bohaterem pozytywnym. Rama przedstawiany jest jako najeźdźca z północy, w istocie okupant. Konflikt między Północą i Południem, indoeuropejskimi Synhalezami i drawidyjskimi Tamilami jest również obecnie, wiele setek lat po Ramayanie, kluczem do zrozumienia wojny domowej na Sri Lance.

### Wojna religijna

Wobec braku wiarygodnych materiałów historycznych początki dziejów dwóch głównych ludów zamieszkujących Sri Lanę są trudne do prześledzenia. Każda grupa uważa się za reprezentanta pierwotnych mieszkańców wyspy, opierając swoje przekonanie na niepotwierdzonych niczym legendach i mitach. Różnią się dziś głównie tym, że Tamilowie za swoją ojczyznę uznają północne i wschodnie tereny Sri Lanki, Synhalezi zaś – całą wyspę. W świadomości społecznej przedstawiciele „innych” są tradycyjnymi wrogami, z którymi walczone „od zawsze”. Synhalezkie kroniki historyczne, głównie Mahavamsa i Czaluwamsa, opisują dramatyczną historię wyspy od VI wieku, wypełnioną wojnami między tamilskimi i synhalezkimi władcami. W praktyce jednak królowie synhalezcy i tamilsy panowali mniej więcej w tym samym czasie, chociaż w różnych rejonach kraju. Pod naporem Tamilów, królowie synhalezcy musieli przenosić swoją stolicę coraz bardziej na południe, z Anuradhapury do Polonnaruwy, potem do Kotte i w końcu do Kandy. Synhalezi pamiętają o tym do dziś. To, że konflikt był zawieszony w czasach kolonialnych, Cejlon zawdzięczał istnieniu trzeciego czynnika – Brytyjczyków. Anglicy z jednej strony działali jako rozjemca, pośrednik między zwaśnionymi stronami, z drugiej podsycali cały czas źródła konfliktu. Leżało w ich interesie, aby nie wygasając, cały czas znajdował się jednak pod kontrolą.

Wzajemna niechęć ma również swój aspekt religijny. Tamilowie są hindusami, Synhalezi byddystami, dla których Sri Lanka jest świętą ziemią Oświeconego. Według Mahavamsy, Budda przewidział upadek swojej nauki w Indiach, kraju,

w którym religia ta się narodziła. Sri Lanka, zamiast Indii, stała się więc Ziemią Obiecaną Wiernym, dharmadipa – „wyspą nauczania”, na którą przeniósł się buddyzm. Przeprowadzka nie odbyła się jednak pokojowo. Wyspę podbito, z boskiego, jak wierzą Synhalezi, rozkazu. Dokonał tego książę Vijaya, który po wielu przygodach zajął Lanę, zakładając tam swoje królestwo. Vijaya wraz z towarzyszami nie był jednak zwykłym zdobywcą. Jak późniejsi Hiszpanie, szukał nie tylko ziemi i bogactw. Miał również, we własnej świadomości, namaszczenie.

Dokładnie w takich samych kategoriach definiują się Tamilowie. Są przekonani, że to właśnie oni stanowią wybrany lud Azji Południowej. Wierzą, że jako potomkowie starożytnej kultury Mohendzo Daro i Harappy stanowią kwiat cywilizacyjny Azji. Według Tamilów, tereny przez nich zdominowane rozciągały się niegdyś na całej, wielkiej przestrzeni Azji, od Afganistanu po Birmę. „Z nami było tak jak z historią starożytnej Grecji i Rzymu. Stworzyliśmy najwspanialszą kulturę, najbardziej wyrafinowany język, literaturę, sztukę, medycynę, astronomię i nauki stosowane” tłumaczył mi z pełnym przekonaniem młody wykładowca historii madraskiego uniwersytetu „i wszystko to przepadło w wyniku najazdu barbarzyńskich Indoariów, tak jak Grecja została zniszczona przez Rzymian, sam zaś Rzym wiele stuleci później przez Hunów. Tylko, że nasza cywilizacja była jeszcze wspanialsza”.

Tamilowie uważają, że ich stolica Dzaffna, była rodzajem azjatyckich Aten, skąd kultura promieniowała do wszystkich zakątków Azji, a nawet świata. Że jednym z trzech mędrców z Betlejem był Tamil. Że to Tamilowie, na wiele stuleci przed Kolumbem, odkryli Amerykę.

Kilka wieków po tym jak Vijaya zdobył wyspę, niejaki Elaru, potężny tamilski władca wylądował na Lance przejmując władzę. Wystąpił przeciwko niemu młody synhalezki książę, Duttugemunu, sięgając po broń wbrew prawom buddyzmu i zakazowi ojca. W wielkiej bitwie pod Anuradhapurą pokonał rywala. Wśród jego wojsk znajdował się nawet pięciusetosobowy oddział buddyjskich mnichów, którym religia zakazywała wszelkich gwałtownych czynów. Bitwę rozstrzygnął pojedynek Elaru z Duttugemunu. Zwyciężył Synhalez, który przebijając Tamila włócznią, w rękojeści której znajdowała się relikwia Buddy, miał oświadczyć: „Nie walczę za chwałę własną, ale za religię”.

Od tamtych lat minęło wiele stuleci. Krwawy konflikt tamilsko-synhalezki trwa nadal. Na tej niewielkiej, choć pięknej wyspie, za mało jest, jak się okazuje, miejsca dla tych dwóch narodów.

### Nacjonalizm językowy

Cejlon zamieszkują jednak różne kategorie Tamilów, nie zawsze żyjących ze sobą w zgodzie. Przede wszystkim dzielą się oni pod względem kastowym. Wysokie kasty północnego Cejlonu, głównie Vellalowie, historycznie dominowały. Vellalowie opierali swoją pozycję na powszechnym uznawaniu przez innych Tamilów ich mistycznej mocy powodującej, że zawsze mieli wszystkiego więcej niż inni: potomstwa, zbiorów, dochodów z handlu. W odróżnieniu od niskich kast byli

również rytualnie czyści. Wszystko to powodowało, że ich polityczna dominacja w ramach społeczności tamilskiej była niekwestionowana.

Niskie kasty tamilskie wywodziły się z reguły z robotników sezonowych i ich potomków, których w czasach kolonialnych sprowadzono do pracy na plantacjach herbaty. Do 1860 roku przesiedlono w taki sposób ponad milion indyjskich Tamilów. Vellalowie nie czuli szczególnych więzów z nowymi niskokastowymi imigrantami. W istocie bliżsi byli wysokokastowym Synhalezom, w szczególności, kiedy obie grupy należały do zwesternizowanych „brązowych sahibów”, którzy przejęli władzę w kraju wraz z wycofaniem się Brytyjczyków. Wewnętrzne podziały były jedną z przyczyn, dla których separatyzm tamilski rodził się bardzo powoli. Jego głównymi głosicielami były średnie i niższe warstwy cejlońskich Tamilów, główne ofiary synhalezkiego dążenia do dominacji.

Te dążenia objawiły się w całej pełni dopiero po uzyskaniu przez Cejlon niepodległości. W 1948 roku parlament w Colombo przyjął „Ustawę o Obywatelstwie”, pozbawiającą praw obywatelskich ponad 900 tysięcy indyjskich Tamilów, których ogromna większość zamieszkiwała Cejlon od dziesiątków, jeśli nie setek lat. Pozbawieni zostali prawa wyborczego, zatrudnienia w służbie publicznej i przedsiębiorstwach prywatnych, nabywania nieruchomości. Synhalezi sami stworzyli w ten sposób jednolitą grupę etniczną opartą o tożsamość rasową i język, coraz bardziej wrogo nastawioną wobec ich politycznej dominacji. Konsekwencje tego aktu dały o sobie znać dopiero po wielu latach.

Wówczas konflikt zaczął przybierać coraz to nowe formy. W początkowym okresie jego siłą napędową był, znajdujący się w fazie ekspansji, nacjonalizm synhalezki. Jak większość tego rodzaju ruchów musiał być skierowany przeciwko komuś. Na Cejlonie jedynym możliwym obiektem byli Tamilowie.

W 1956 roku Solomon Bandaranaike (ojciec obecnej prezydent Sri Lanki, pani Czandriki Kumaratungi) zdobył władzę przewodząc ruchowi „tylko synhalezki”, którego celem było narzucenie synhalezkiego jako jedynego, oficjalnie uznawanego języka państwowego. Aktem ustawodawczym parlamentu pozbawiono język tamilski równouprawnionego z synhalezkim statusu. Zmniejszyło to drastycznie liczbę Tamilów kwalifikujących się do służby państwowej, oraz w armii i policji. Pozbawiło wielu kompetentnych tamilskich urzędników możliwości awansu. Powiększyło szeregi niezadowolonych, do których po raz pierwszy dołączyli przedstawiciele tamilskich elit, dotąd trzymający się na uboczu międzyetnicznych waśni. Co więcej, ustawa językowa wraz z późniejszymi przepisami ograniczającymi młodzieży tamilskiej dostęp do wyższych uczelni – znowu w oparciu o barierę językową – spowodowała, iż wielu młodych Tamilów, sfrustrowanych spychaniem ich na drugorzędą pozycję społeczną, postanowiło z bronią w ręku wywalczyć należne sobie prawa.

### Wkraczają Indie

Rajan Ramachandran jest właścicielem niewielkiego hotelu pod Madrasem. W recepcji, na honorowym miejscu, w towarzystwie dwu secesjonistycznych flag, wisi,

elegancko oprawiona, fotografia Velupillai Prabhakarana, przywódcy Tygrysów Wyzwolicielei Tamiłskiego Państwa (LTTE). Rajan nie ukrywa swoich sympatii, ani tego, że tamiłskich współbraci ze Sri Lanki wspiera nie tylko moralnie.

Z pochodzenia Tamił, urodził się i wychował w Colombo. Jego rodzice mieli dwie restauracje i pensjonat na południowych przedmieściach stolicy, chętnie odwiedzany przez bogatszych Cejlończyków podczas weekendów. „Moja rodzina nie była politycznie zaangażowana” – mówi – „należeliśmy do dobrze sytuowanych Tamiłów, lojalnych wobec władz. Ojciec nie popierał ekstremistycznych ugrupowań tamiłskiej młodzieży, która już w końcu lat siedemdziesiątych zaczynała myśleć o zbrojnym wywalczeniu należnych nam praw”.

Antytamiłskie rozruchy, do których coraz częściej dochodziło od połowy lat pięćdziesiątych, nie dotknęły bezpośrednio rodziny Ramachandranów. Dopiero rozruchy 1983 roku zmieniły sytuację. „Obie nasze restauracje poszły z dymem. Tłumy Synhalezów maszerowały ulicami, niszcząc domy i sklepy należące do Tamiłów. Pogrom był dobrze zorganizowany i kierowany przez ludzi mających dostęp do spisów wyborczych. Dzięki nim wiedzieli, które domy należą do Tamiłów, a które należy oszczędzić, bo mieszkają w nich Synhalezi. Połowę Colombo ogarnęły pożary, Tamiłów dopadano na ulicach i mordowano. Wyciągano ich z autobusów i samochodów, karetki pogotowia odmawiały odwożenia rannych do szpitali tylko dlatego, że nie byli Synhalezami. Mieliśmy szczęście, że w naszej rodzinie nikt nie zginął”.

Dla Ramachandranów był to jednak punkt zwrotny. „Uznaliśmy, że to koniec. Że z Synhalezami nie da się razem mieszkać, że takie ataki będą się powtarzać i powtarzać, aż w końcu i nas dopadną”. Cała rodzina przeniosła się do Madrasu i po kilku latach za zaoszczędzone pieniądze Rajan otworzył swój pierwszy hotel. „W przyszłym roku planuję otwarcie następnego” – mówi – „turystyka się w Indiach rozwija i jest to przyszłościowy biznes”.

Takich jak Ramachandran było więcej. Kiedy w początku lat 80. sytuacja na wyspie zaostrzyła się, coraz więcej uciekinierów zaczęło legalnie i nielegalnie lądować na indyjskim wybrzeżu. Wojna domowa powoli nabierała aspektów międzynarodowych. Wkrótce okazało się, że ograniczony konflikt na maleńkiej wyspie zagraża bezpośrednio interesom wielkiego sąsiada – Indiom.

Dla ówczesnej premier Indii, pani Indiry Gandhi był to problem, wyzwanie, a jednocześnie szansa. Południowoindyjskim stanem Tamiłnadu, prawie w całości zamieszkałym przez Tamiłów, rządziła tamiłska nacjonalistyczna partia DMK, głosząca potrzebę oderwania Tamiłnadu od Indii. Wsparcie przez New Delhi antysynhalezkich ruchów na Sri Lance wyładowałoby przynajmniej część tamiłskiego separatyzmu z dala od Indii. Poprawiłoby też stosunki Delhi z Madrasem i zadowoliło wpływowe urzędnicze lobby, pochodzenia południowoindyjskiego, zajmujące wiele strategicznych pozycji w rządzie centralnym.

Liczono, że indyjska interwencja umocni pozycję New Delhi w regionie powstrzymując Stany Zjednoczone, które były zainteresowane wykorzystaniem cejlońskiego portu Trincomalee dla zaopatrywania swojej floty działającej na Oceanie

Indyjskim. Wszystko to wydawało się łatwe do osiągnięcia. Sri Lanka była mała i słaba, a obok w Afganistanie toczyła się wojna i nikt nie miał wątpliwości, że zakończy się zwycięstwem wojsk sowieckich nad afgańskimi mudzahedinami. Indie zaś były głównym sojusznikiem ZSRR w tej części Azji.

New Delhi podjęło zatem dwa kroki. Najpierw wyszkoliło i uzbroiło szereg tamilskich grup powstańczych, w tym także LTTE, które rozpoczęły skuteczną wojnę partyzancką skierowaną przeciwko wojskom rządowym Sri Lanki. Następnie, kiedy wojna znalazła się w apogeum i wyglądało na to, że strona rządowa uzyskuje jednak przewagę, New Delhi zdecydowało się na bezpośrednią interwencję. Do północnej Sri Lanki wysłano indyjski korpus ekspedycyjny nazwany Indyjskimi Siłami dla Utrzymania Pokoju (IPKF). Początkowym zadaniem indyjskich wojskowych miało być rozbrojenie tamilskich partyzantów i zmuszenie sił rządowych do pozostania w koszarach. O ile to drugie udało się dość łatwo, o tyle partyzanci nie zamierzali oddać ani broni, ani władzy, jaką zdobyli na północy wyspy. Wojnę toczyli w końcu nie w interesie New Delhi, ale własnym. Bardzo szybko okazało się, że armia indyjska, której intencją była obrona Tamilów, właśnie z nimi toczy krwawą wojnę. I że wojnę tę przegrywa.

Hindusi musieli się w końcu wycofać, sytuacja zaś powróciła do punktu wyjścia. Synhalezi i Tamilowie trwają w zwarcu, którego końca nie widać.

### Wysoka cena

W 1997 roku władze cejlońskie przeprowadziły wielką operację wojskową pod kryptonimem Jayasekuru – „Pewne zwycięstwo”, w wyniku której zdobyły stolicę Tamilów, Dzaffne. Kilka miesięcy później do miasta zaczęli powracać uchodźcy, a wraz z nimi pierwsze zwiastuny normalnego życia. Podczas zaczepnych operacji wojsk rządowych Tygrysy Tamilskie popełniły poważny błąd taktyczny podejmując z lepiej wyposażoną armią rządową bitwę typu konwencjonalnego, starając się za wszelką cenę utrzymać teren. Kosztowało ich to wiele strat w ludziach i sprzęcie. Ale szef Tygrysów, Vellupilai Prabhakaran, wyszkolony na podręcznikach wojny partyzanckiej Mao Zedonga i Giapa, wyciągnął z tej porażki stosowne wnioski przenosząc się do dżungli i przechodząc ponownie do działań typu partyzanckiego, w których Tygrysy są mistrzami. Jego oddziały liczące około dziesięciu–piętnastu tysięcy bojowników, potrafią póki co powstrzymać prawie dziesięciokrotnie silniejszego przeciwnika. Tygrysy Tamilskie działają w małych grupach, atakując głównie konwoje i wysunięte placówki armii rządowej. Władzom nie udało się do tej pory zagwarantować nieprzerwanego transportu ludzi, sprzętu i zaopatrzenia na głównej drodze łączącej Dzaffne z resztą kraju.

Bojownicy tamilscy są inteligentni i pomysłowi. Konstruuja własne miny, własne granaty, własne moździerzce, a nawet próbowali wyprodukować własny lekki samolot, który miał zostać użyty do zbombardowania rezydencji prezydenta Sri Lanki, pani Kumaratungi. Mają własne oddziały komandosów morskich potrafiących spod wody zaminowywać okręty stojące w porcie. Kilkakrotnie napadali na statki



handlowe pływające w okolicach Cejlonu. Szereg niewyjaśnionych zaginięć frachtowców w tym rejonie można zapewne przypisać ich działalności. W zeszłym roku porwali między innymi frachtowiec wyladowany moździerzami, które rząd Sri Lanki zakupił dla swojej armii w RPA. Bojownicy LTTE są fanatyczni. Prawie wszyscy noszą na szyi kapsułki z cyjankali, które powinni zażyć w razie schwytania. Najbardziej jednak niebezpieczne są „szwadrony samobójców” nazywanych Czarnymi Tygrysami, a wśród nich oddziały kobiece. Mają niezłe zorganizowany wywiad, którego siatka sięga Kanady, Wielkiej Brytanii, Singapuru, Tajlandii i Kambodży, nie wspominając o Indiach. Coraz większą część broni zakupują w Kambodży u Czerwonych Khmerów. Wspólnie z indyjską mafią z Bombaju zajęli się przemytem narkotyków na wielką skalę. Z bojowników o wolność LTTE przekształciła się powoli w syndykat terrorystyczno-przemysłowy.

Jak zwykle w takich wypadkach najwyższą cenę wojny płacą cywile. Jest to często cena trudna do określenia. W przypadku Sri Lanki zamyka się kilkudziesięcioma tysiącami zabitych, prawdopodobnie znacznie większą ilością rannych. Zniszczonymi miastami, spalonymi wioskami, polami ryżowymi, na które strach wchodzić, bo wszyscy zamiast ryżu przez kilkanaście ostatnich lat plantowali tam miny. Równie długo Tamilowie na północy Sri Lanki żyli bez elektryczności, lekarstw, benzyny, edukacji. W dzień bombardowały ich samoloty wojsk rządowych. W nocy przychodzili „chłopcy” z LTTE. Po „podatki” i rekrutów, często kilkunastoletnich, przerabianych później na mięso dla tamilskiego Eelamu – Kraju.

W armii rządowej sytuacja nie jest najlepsza. Trzydzieści procent ran żołnierze zadają sobie sami, żeby uniknąć wysłania na front. Samobójstwa stały się realnym problemem. Wynikają ze stresów wiążących się z długotrwałą wojną, której końca nie widać. Ponad dziesięć tysięcy Synhalezów zdezerterowało. Stanowi to dziesięć procent stanu armii, której największą słabością jest właśnie niedostatek żołnierzy. W maju tego roku władze ogłosiły czwartą i jak zapowiadały, ostatnią już amnestię dla dezertorów, ale póki co niewielu zdecydowało się ponownie założyć mundur.

Zapłacili też Indusi: kilkoma tysiącami żołnierzy IPKF zabitych i rannych w dżunglach północnego Cejlonu oraz życiem premiera Rajiva Gandhiego, którego w 1991 roku wysadziła w powietrze samobójczyni z kobiecych oddziałów Czarnych Tygrysów.